

Warto było

Rozmowa z Krystyną Jandą

Młodzi ludzie dobijają się do mnie po spektaklu. Mówią, że po tym przedstawieniu wierzą, że warto żyć – mówi Krystyna Janda.

W piątek, sobotę i niedzielę w Teatrze im. Stefana Jaracza odbyły się spektakle w ramach łódzkiego fragmentu trasy „100 twarzy Krystyny Jandy”. Widzowie obejrżeli „Marlenę” według sztuki angielskiej dramatopisarki Pam Gems w reżyserii Magdy Umer, w sobotę „Shirley Valentine” Willy’ego Russella wystawioną przez Macieję Wojtyszkę, a w niedzielę „Marię Callas – lekcja śpiewu” – adaptację sztuki Terrence’a McNallyego przygotowaną przez Andrzeja Domałika. Choć każde przedstawienie było grane dwukrotnie, biletów zabrakło już miesiąc temu. „Gazeta” rozmawiała z Krystyną Jandą kilka godzin przed wyjściem na scenę.

TOMASZ WYPYCH: Przez lata nie zgadzała się Pani na pracę w radiu. Dlaczego?

KRYSZYNA JANDA: – Konsekwentnie przez 25 lat odmawiałam grania w radiu, bo uważam, że ja bez twarzy nie istnieję. Odmawiałam także ze strachu przed kolegami grającymi w radiu, którzy wiedzą, jak trudno jest dobrze pracować głosem. Zwyczajnie bałam się, że nie będę na poziomie. Kilka razy słyszałam siebie nagraną, robię takie nagrania, żeby zapamiętać tempo i rytm. I kiedy tak siebie słucham, to widzę, że ja w teatrze prawie zawsze mówię „na bialo” (bez interpretacji). Interpretację, rytm, pauzy robię twarzą, ciałem, odkładaniem rekwizytów. Dlatego uważałam, że radio to nie moje medium.

I nagle zmieniła Pani zdanie?

– Niewiele osób mogłoby sobie pozwolić na taki sponsoring, jaki zrobiło Radio „Zet”. To są olbrzymie pieniądze. Cała akcja „100 twarzy Krystyny Jandy” jest spektakularna. Z radością zgodziłam się na pokazanie mijającego stulecia poprzez postacie stu kobiet. Wskoczyłam w ogień. Nie wiem, która z tych kobiet jest mi najbliższa. Przy czytaniu wspomnień kilkunastu z nich serce szybciej mi biło. Najczęściej były to wielkie artystki i myślę, że ja i wiele innych osób sporo tym paniom zawdzięcza. Kiedy czytałam np. Agnieszkę Osiecką, to trudno nie mówić o wzruszeniu. Chciałam oddać tej kobiecie wszystkie swoje umiejętności, by zagrać najpiękniej i najmądrzej. Oddać jej hołd. To wspaniale kobiety.

Wanda Wasilewska i Ewa Braun też?

– Na swój sposób. To interesujące spotkać się z nimi, one także miały wpływ na nasze stulecie.

„Marię Callas – lekcję śpiewu” zagrała Pani przynajmniej kilkakrotnie przy pełnej widowni.

– Te spektakle są ciekawie skonstruowane i przez to bliższe ludziom. „Callas” odsłania np. tajniki teatru, a to zawsze widzów interesuje. Jednocześnie uczy szacunku do artysty i sztuki. Niby to oczywiste, ale na scenie rzadko można o tym interesująco opowiedzieć. Za każdym razem przy Callas opowiada się o relacji widz-artysta, co jest niebywałą gratką dla artysty. Swobodnie, nawet w obcesowy sposób może opowiedzieć o rzeczach, które chciałby wykrzyknąć ze złości. W monologu kończącym każdy weekend, mówię zdanie, które Callas naprawdę powiedziała do swoich studentów: „życie bez sztuki nie ma sensu; mam pełną świadomość, że świat nie zawali się, jeśli od jutra nie będzie przedstawień „Traviaty”, świat bez artystów z pewnością będzie kręcił się dalej, ale dzięki sztuce ten świat jest lepszy, piękniejszy i bogatszy; jest światem, w którym warto żyć”. Callas była osobą „maksymalną”, dla niej nie istniały stany pośrednie, nie godziła się na ustępstwa. Całkowicie oddała się sztuce.



Interpretację, rytm, pauzy robię twarzą – wyjaśnia swoją grę aktorka

Tak jak Pani?

– Kocham sztukę. Ale nie tylko ja. Po „Shirley Valentine” przychodziły za kulisy zapłakane kobiety. Traktują mnie jak przyjaciółkę, kogoś bliskiego, równego, komu można się zwierzyć, przy kim można wypłakać się. Po Marii Callas natomiast spytkałam się z szacunkiem, jakby nie odróżniali mnie od Callas. Zwracają się do mnie tak, jakby mówili do niej. Na ulicy zaczęła mnie pewna kobieta i powiedziała, że kiedyś chciała być śpiewaczką operową. Podczas przedstawienia to marzenie wróciło. Młodzi ludzie dobijają się do mnie po spektaklu. Przynoszą mi swoje wiersze i chcą, żebym je przeczytała. Mówią, że po tym spektaklu wierzą, że warto żyć, że istnieją wartości niepodważalne. Z „Callas” stało się coś takiego, że nie wypada jej nie widzieć.

To chyba najlepsza recenzja tego spektaklu. Czyta Pani recenzje?

– Oczywiście, ale najbardziej wiersze w szeptaną recenzję zwykłych widzów, wędrującą z ust do ust przez miasto. Kilkaset osób, które wychodzą ze spektaklu, opowiada następnym osobom. I te wieści o przedstawieniu rozchodzą się z prędkością światła. Dobre i złe, tak samo szybko. Recenzje mają znaczenie dla środowiska, zachęcają do obecności na widowni ludzi ze świata kultury. Aktorzy, reżyserzy rzadko chodzą do nie swoich teatrów. Kiedy recenzje są niedobre, to już w ogóle nikt ze świata kultury nie przychodzi albo nieliczni, by utwierdzić się, że recenzent... znów nie miał racji.

A może trochę zazdrości Pani recenzentom? Tak jak np. reżyserom, bo przecież „Człowiek z marmuru” okazał się filmem proroczym. Grała Pani młodą reżyserkę, po latach sama stanęła za kamerą, reżyseruje Pani w teatrze.

– Nikomu nie zazdrozczę. Reżyserowanie to chyba naturalny rozwój wielkości świadomych artystów. Przychodzi taki moment, że nie chcę się dzielić moimi pomysłami z innymi, z innym reżyserem, wolę to podpisać sama. Dlaczego mam opowiedzieć reżyserowi, jak wydaje mi się, że powinien być zrealizowany spektakl? Chciałam powiedzieć coś od siebie. Z „Pestką” było tak, że żaden z moich kolegów reżyserów nie chciał opowiedzieć tej historii. Opowiedziałam ją niejako z musu. Na planie „Pestki” byłam świadkiem najpiękniejszego przekręcenia tekstu, jakie słyszałam. Daniel Olbrychski miał powiedzieć do Anny Dymnej: „Jest takie piękne słowo korespondencja: jedno pisze, a drugie odpowiada”. Stoję za kamerą i słyszę, jak Daniel mówi: „Jest takie piękne słowo korespondencja: jedno pisze, a drugie czyta”. To kwintesencja Daniela. Teraz kończę reżyserować „Klub kawalerów” z Jerzym Stuhrem, Zbigniewem Zamachowskim i Cezarym Pazur-

ą. Emisja w Telewizji na Gwiazdkę. Ale reżyseria to nie jest mój zawód. Jestem aktorką. To wielka satysfakcja patrzeć na tłum widzów. Dlatego, chociaż każdy weekend kończę ze spuchniętymi strunami głosowymi, nie żałuję. Czuję ból, ale wiem, że było warto.

Rozmawiał
TOMASZ WYPYCH